

A. G. Centkiewicz "Zawarowane Zagrodo"

KAT. I.

Profesor przypatrywał się im pilnie. Nim dostrzegł srebrzysty błysk obrączek, usłyszał najomy głosik:

- Ork, ork, ork.
- Wróciłeś, eleganciku? I ten także! I tamten!
- krzyczał uradowany, widząc na wielu różowych błoniastych łapkach aluminiowe paseczki. - Kochane ptaki, już was nie będę nigdy zamykał - obiecywał im solennie, a otaczające profesora ciasnym wianuszkiem pingwinki, wsparte na ku-

szych czarnych ogonkach jak na laskach, przechylały na boki łepki, jakby słuchały uważnie, co mówi ten dziwny człowiek, który tak mało o nich jeszcze wiedział. Od dawien dawna wracały przecież co wiosnę do tych samych skał Antarktydy, do tych samych gniazd uwitych z kamyków.

Gdyby nauczył się mówić po pingwiniemu, dawno by mu już o tym same powiedziały.



- Pingwinki wracają! Profesorze, prędzej, prędzej! - usłyszał któregoś dnia nagłacy krzyk młodych przyrodników.

W dali aż się czerniło od maleńkich postaci. Stłoczone na krach, jak ludzie na promach, wyskakiwały na krawędź lodu krzycząc przerażonych jeszcze w śniegu przybrzeżnych skał. Te z czerwonymi płamkami na prawo, te z zielonymi na lewo. Żaden się nie pomylił.

JAK NASZA MAMA ZREPEROWAŁA KSIĘŻYC

Mama opowiadała potem, że obudziła się w nocy, bo księżyc świecił jej prosto w twarz. Wstała z łóżka, aby zasłonić okno. I wtedy usłyszała, że ktoś pochlipuje na dworze. Więc wyjrzała oknem, ciekawa, co tam się dzieje. I zobaczyła, że księżyc świeci na niebie ż bardzo smutną miną, a po brodzie, osłoniętej małą, białą chmurką, płyną mu łzy.

— Co ci się stało? — spytała nasza mama. — Dlaczego płaczesz?

— Buuu!... — rozplakał się wtedy księżyc na cały głos — chciałem zobaczyć, jak wygląda z bliska wielkie miasto, spuściłem się na dół, zaczepiłem o wysoką wieżę i obthukłem sobie rożek!

Księżyc odstonił białą chmurkę i mama zobaczyła, że ma odtracony dolny róg. Wyglądał zupełnie jak nadłamanym rogalik.

— Co to będzie! — lamentował księżyc. — Kiedy zrobię się znów okrągły, będę wyglądał jak plasterek sera nadgryziony przez myszy! Wszyscy mnie wyśmieją!

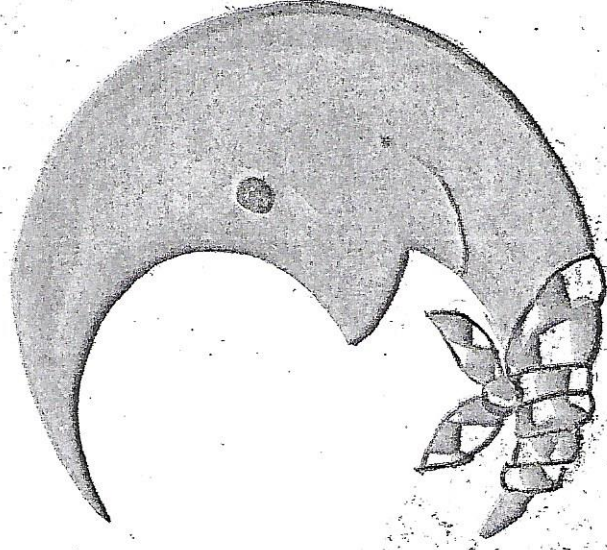
— Cicho — powiedziała mu mama. — Cicho, bo pobudzisz dzieci. Chodź tu na balkon, połóż się na leżaku i poświeć mi, a ja spróbuję wymyślić jakąś radę na twoje zmartwienie.

Księżyc podpłynął do balkonu i ułożył się ostrożnie na leżaku. A mama założyła szlafrok, pantofle i poszła do kuchni. Cichutko wyciągnęła stolnicę, mąkę, jaja, śmietanę i zagniotła wielki kawał zóciutkiego ciasta. Z tego ciasta ulepiła rożek, taki, jakiego brakowało księżycowi.

— Siedź teraz spokojnie — powiedziała — to ci przyprawię ten twój nieszczesny rożek.

Okleiła mamą księżycowi brodę ciastem, równiutko i wylepiła taki sam rożek, jak ten, co się obtłukł. Potem wzięła jeszcze parę skórek pomarańczowych i tymi skórkami, jak plasterem, przylepiła ciasto do księżycyca.

— Gotowe! — powiedziała. — Za kilka dni rożek ci przyrośnie i będziesz mógł te plasterki wyrzucić. Ale pamiętaj, na drugi raz nie bądź gapą, omijaj sterczące dachy i wysokie wieże. Przecież mogłeś się rozbić na kawałki!



J. Papuzińska

„Nasza mama (reprodukcyjka)“

KAT. I.

KAT. I.

Ten Witek poleciał ze mną na sam koniec korytarza, aż do umywalni. Myślałem, że chociaż umyje swoje łapska. Były takie brudne jak u kominarza. Ile razy mnie brał do ręki, to mi zawałał mój czerwony kubraczek. Ale jemu się ani śniło myć rąk. On tam poleciał psocić po swoim. Przy białej umywalce pod kranem myły ręce mydłem i szczoteczką dwie dziewczynki. Witek wyrwał im mydło i szczoteczkę i chciał im namydlić twarze, ale dziewczynki się nie dały, więc się odwrócił i chciał je ochlapać wodą z kubta. Wszedł prędko rękę do wody i nagle

jak nie wrzasnie!... To była gorąca woda do mycia podłogi i umywalek.

Oj, co to było krzyku i gwałtu!

Ale potem się złąkł, że dostanie burę o te dziewczynki, więc się uspokoił. Czerwoną, spuchniętą rękę owinał brudną chustką do nosa i powlókł się do klasy, jęcząc cicho.

Kiedy przechodził koło drzwi naszej klasy, zobaczył ogłoszenie. Zaciekawito go. Stał i przeczytał. A tam tak było napisane:

Kto mi odda

mojego

PLASTUSIA

to mu dam:

4 malowanki

i 1 zółto

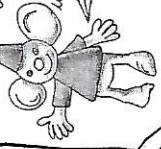
wstążeczkę

Ten PLASTUŚ jest taki:

cały z plasteliny

ubrany za krasnoludka

↓
Josia & Ildasy



Listy z wakacji

J. Olesz
"Dymestia Miziołków"
KAT. II.

Kochani Rodzice!

Na kolonii jest ekstra! Po pierwsze, nie ma Miziołów; po drugie, nie ma pani Barszcz. Do Olszyna przyjechalśmy z opóźnieniem, bo taki jeden gruby z sąsiedniego przedziału pociągnął za hamulec bezpieczeństwa. Była straszna awantura, przybiegł maszynista i zapytał grubego, dlaczego zatrzymał pociąg. Na to gruby, że widział przez okno kiosk ze słodyczami i chciał sobie kupić batona. Wychowawczyni tej grupy z sąsiedniego przedziału postanowiła od razu wracać do Warszawy, ale kierownik kolonii się nie zgodził. Powiedział coś zupełnie bez sensu, że „kości zostały rzucone”. Nie mam pojęcia, o co mu chodziło. Rzucaliśmy się tylko jajkami na twarog, żadnych kości nie było...

Na początku siedzieliśmy w jednym przedziale z Piromanem i Fifą. Ale już na Dworcu Zachodnim Fifę przesadzili za karę do dziewczynek, bo włożył na półkę z bagażami i udawał King Konga. Piroman przez całą drogę trzymał swój plecak na kolanach i co chwila do niego zaglądał. Nie chciał powiedzieć, co tam ma – kryształowy wazon? No bo chyba nie nitroglicerynę? Jeden chłopak z naszego przedziału zrobił sobie sztuczne zęby ze skórki od pomarańczy i poszedł nastraszyć dziewczyнки. Już nie wrócił, dołączył do Fify i aż do Olszyna musieli obaj grać z dziewczynkami w łapki.

Nasz wychowawca jest rudy, ma zupełnie białe rzęsy i jest piegowaty jak nie wiem co, nawet na uszach ma piegi. Niespecjalnie się nami zajmował, bo przez całą drogę podtrzymywał na duchu tę wychowawczynię z przedziału obok.

W Olszynie przesiadliśmy się do autokarów. Było trochę zamieszania, bo Piroman za nic nie chciał umieścić swojego plecaka w bagażniku. Kierownikowi powiedział, że lepiej będzie dla nas wszystkich, jeżeli pozwolą mu zabrać plecak ze sobą do autokaru. W drodze wychowawczyni najstarszych dziewczyn poprosiła, żeby ktoś na ochotnika zaśpiewał piosenkę. Zgłosił się ten gruby od batonów, którego nazwaliśmy Hamulcowy. Jak zaczął śpiewać o psotnych skrzatach, to małośmy z siedzeń nie pospadali, a kierowca zatrzymał autokar i powiedział, że on się musi skoncentrować w czasie jazdy i żeby go nie narażać na stresy.

Wysiedliśmy z autokaru przed szkołą w Pupkach, gdzie będziemy mieszkać. Chłopaki zaczęli się kłócić o to, jak nazywają się mieszkańcy Pupek – jedni mówili, że Pupkowiacy, drudzy, że Pupkownicy. Ja myślę, że najładniej by było Pupiszony. Fifa mi podpadł, bo w ogóle nie zwracał na nas uwagi, tylko targał plecak za jakąś kudłatą blondynką z najstarszych dziewczyn i patrzył na nią jak Kuczmierowski na swój nowy rowet.

Śpię pod oknem, między Piromanem a jakimś Drągalem, który nie wymawia „r”. Fifa z powodu tej kudłatej nie zaklepał w porę dobrego łóżka i śpi przy drzwiach. Piroman obiecał nakłonić Drąga, żeby zamienił się na miejsce z Fifą. Ciekawe, jak on ma zamiar to zrobić? Jak stanie na palcach – sięga Drągłowi do ucha. Piroman twierdzi, że ma w plecaku bombowe środki perswazji.

Zaraz idziemy nad jezioro łapać żaby. Po ciszy nocnej będziemy je wrzucać dziewczynom przez okno. Czy mówilem już, że na kolonii jest ekstra? Mamo, nie zapomnij karmić Ogryzka trzy razy dziennie! Capiuję mocno!

Wasz Miziołek



Nareszcie kiedy Katarzyna poszła do kuchni i drzwi się za nią zatrzasnęły, Puc wysunął się z kąta. Suczego włoska na nim nie było. A do tego ten ohydny zapach mydlin. Aż mu się mdło zrobiło, gdy sam siebie powąchał.

– Od razu wiedziałem, że ten smarkacz, ten szczeniak Bursztyn wplącze mnie w jakąś awanturę – wyrzekał. – Jak to mnie czuć! Ze dwa tygodnie nie będę się mógł pokazać w żadnym psim towarzystwie!

Rozglądał się po podwórzu. Szukał czegoś, w czym by się mógł wytarzać.

Ale, jak na złość, nie było pod ręką nic takiego, co stałoby nowi psie perfumy. Ani zdechłej myszy, ani ptaka, nic. Zobaczył w kącie trochę zgniłej marchwi i kartofli, których Katarzyna nie zdążyła zakopać pod winogronami.

– No, to, jeszcze jako tako pachnie! – powiedział sobie i nuż się tarzać.

Wytarł się tak, że mu się sierść zlepiała w strączki. Powąchał, kichnął i szepnął:

– Teraz to można wytrzymać! Tylko dobrze by było wytrzeć się o co.

Na sznurze wisiły koszule i kołnierzyki.

– W sam raz dla mnie – zdecydował Puc i przeszedł raz między bielizną, przeszedł drugi.

Za każdym razem na koszulach zostawały brudne smugi, a kołnierzyki wyglądały tak, jakby je kto zamoczył w kawie.

– Teraz się warto przespać! Ale lepiej Katarzynie zejść z oczu. Pranie! Nic dziwnego, że zła. Idźmy do ogrodu. Poszedł.

A tam pod oknem rosły rdesty, takie dość rzadkie kwiaty, które świeżo sprowadzono z Warszawy.

Pucunio spojrzął w tę stronę i zdecydował, że miejsce dla niego jak ulał. Położył się. Ale że młode pędy rdestów kłuły go w boki, więc wstał.

– Zawsze tam, gdzie najlepsze miejsce do spania, muszą rosnać dzikie chwastki. Kłuje to, że wytrzymać nie można – pomrukiwał ze złością, bo mu się potężnie na sen zbierało. I teraz zabrał się do oczyszczenia miejsca.

Szarpnął jeden młody pęd – wyrwał, targnął za drugi, trzeci. Czego nie mógł wyrwać, to zdeptał albo połamał.

Nareszcie urządził sobie legowisko jak się patrzy. Umieścił się wygodnie, ziewnął i zaraz zasnął.

Lampo miał złamane dwa zebra i nogę. W chwili, gdy pociąg zatrzymał się, a drzwi uchyliły, upadł na tor i zsunął ze stromego nasypu. Ostatkiem sił poczołgał się do kępy krzaków rosnących w rowie. Wpełzł pod liście. Dla tego nie mogli go zobaczyć pasażerowie z pociągu.

W dwie godziny później znalazła go jakaś wieśniaczka, która pędziła osła. Usiadła akurat pod krzakiem, aby odpocząć.

— A kto cię tak oporządził, chudziaku? — spytała. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła psa. Patrzył jej w oczy, jakby prosił o ratunek. Zbadała jego rany.

Poczula taką litość, że o mało się nie rozpląkała. Delikatnie podniosła Lampo i wsadziła go do wielkiego kosza, umocowanego na grzbiecie osiołka.

— Już się mój Pietro tobą zajmie — mruknęła. Mąż jej był owczarzem i umiał nastawiać złamane kości. Zaopiekował się Lampo. Nie wróżył mu jednak długiego życia.

— Okrutnie pobity — powiedział. — Może się wylize, ale nie widzi mi się, aby tak było. — Pokręcił głową. Zabandażował psa jak kukłę.

Lampo chorował bardzo długo. Dopiero po miesiącu zaczął chodzić po podwórku. Utykał ciągle na nogę.

— To mu już chyba zostanie — mruczał owczarz. — Noga rozprostuje się jeszcze, ale i tak będzie krótsza.

Masował psu łapę. Lampo lizał go po ręce. Przywiązał się do tego człowieka. Ale w sercu czuł dziwny niepokój. Kiedy zasypiał, nawiedzały go jakieś sny, bo skomlił jak małe szczenię.

Starzy karmili go, czym mogli. Chociaż byli biedni, nie żałowali mu mleka i kaszy. Razu pewnego, gdy zabili kurę, dali mu spory kawałek mięsa. Jednak taka uczta nie trafiała się co dzień.

Tomek po raz pierwszy ujrzał ogród zoologiczny, można więc sobie wyobrazić z jakim zaciekawieniem przyglądał się wszystkim zwierzętom. Największą radość sprawił mu widok stonia przywiezionego na „Aligatorze” z Cejlonu. Wspaniałe zwierzę przyzwyczało się już do nowych warunków bytowania, a ze względu na swą wielką łagodność stało się ulubieńcem najmłodszych mieszkańców miasta. Tomek twierdził, że stonń musiał go poznać, gdyż bez zachęty pomógł mu trąbą wspiąć się na swój grzbiet. Wilmowski wskazywał, które okazy ptaków chciałyby otrzymać w zamian za skalne kangury i niedźwiadki koala. Bentley nie robił

żadnych trudności, ponadto polecił obsłudze ogrodu dostarczyć ptaki w klatkach na statek.

Z ogrodu łowcy udali się do Muzeum Narodowego zaopatrzonego w bogate zbiory fauny z całego kontynentu. Tutaj Wilmowski i Smuga spędzili kilka godzin na oglądaniu oryginalnych eksponatów. Oprrowadził ich dyrektor muzeum, który nie szczędził im swych rad w związku z organizowanym działem fauny australijskiej w ogrodzie zoologicznym w Europie.

Dopiero późno po południu wrócili do hotelu. Ku ich zdziwieniu powóz zatrzymał się przed piękną willą otoczoną dużym ogrodem.

— Musicie mi panowie wybaczyć, lecz na prośbę matki dokonałem na was zamachu. Znajdujecie się przed moim domem. Dopiero jutro wieczorem odzyskacie wolność. Nie możecie nam odmówić tej przyjemności — powiedział wesoło Bentley.

— To już moje drugie porwanie w Australii! — zawołał Tomek.

Wśród ogólnej wesołości występli z powozu, a gdy weszli do domu, zostali w salonie bosmana Nowickiego. zajętego ożywioną rozmową z matką Bentleya.

Okazało się, że gościnny zoolog, odsyłając klatki z ptakami na statek, załączył zaproszenie dla bosmana, zapewniając go z góry o zgodzie kierownika wyprawy na opuszczenie „Aligatora”. W ten sposób wszyscy Polacy uczestniczący w wyprawie znaleźli się w domu Bentleyów.

Następnego ranka Bentley przybył po nich jeszcze przed godziną dziesiątą, a wkrótce po nim zjawił się również Wilmowski. Oznajmił z zadowoleniem, że kapitan Mac Dougal wywiązał się doskonale z powierzzonego zadania. Wszystkie zwierzęta przywiezione z Port Augusta czuły się zupełnie dobrze. Po uzupełnieniu zapasów odpowiedniego dla nich pożywienia statek mógł bez przeszkód wyruszyć w drogę powrotną. Bentley natychmiast zaofiarował się ułatwić zaopatrzenie w prowiant.

Grupa Polaków razem z Bentleyem udała się powozem do ogrodu Towarzystwa Zoologicznego, aby dokonać wymiany zwierząt. Podczas jazdy podróżnicy z podziwem przyglądali się pięknie zbudowanemu, rozległemu miastu, leżącemu na obu brzegach rzeki Yarra. Handlowe i przemysłowe śródmieście było otoczone szerokim wieńcem wspaniałych ogrodów, za którymi rozciągały się również pełne zieleni przedmieścia. Tutaj wśród drzew białeły wygodne domki mieszkańców miasta. Kierując się na północ, minęli Ogrody Carltona, przebyli Skwer Lincolnna i zagłębili się w Park Królewski. W parku tym, między wieloma atrakcjami, mieścił się ogród Towarzystwa Zoologicznego, którego zarządcą był Bentley. Zwierzyńiec udostępniano dla publiczności jedynie w ściśle określone dni. Z tego powodu zwierzęta korzystały z dość dużej swobody. Niektóre z nich przebywały tam niemal całkowicie na wolności, nie zdradzając chęci ucieczki.

¹ Wystawa Powszechna odbyła się w Melbourne w 1880 r.

E. Niazurski

"Sposób me Alcybiadesa"

KAT. III

ROZDZIAŁ XIII

Nazajutrz w szkole przed lekcją historii ustaliliśmy misiurkę na katedrze, na specjalnej podstawie, jakiej używają kapelusznicy do wystawiania kapeluszy, aby wyglądała bardziej efektownie. Potem poszliśmy po Alcybiadesa do kancelarii i pomogliśmy mu zabrać podobiznę Hammurabięgo, mapy Mezopotamii i Asyrii, ilustracje rzeźby babilońskiej oraz plansze przedstawiające pismo klinowe. Nie wspomnieliśmy mu ani słowem o naszej wyprawie do Czerska i zdobyciu misiury. To miała być niespodzianka... Pędzelkiewicz i Słaby jako dyżurni wykuli nieco wiadomości o pierwszych Piastach, żeby móc zapuścić odpowiedniego Węża Morskiego i odwrócić uwagę Alcybiadesa od Babilonu i ciemnych spraw jego.

Dryf przygotowany więc był bez zarzutu i żadne znaki na niebie i ziemi nie zapowiadały nowej katastrofy.

Wszedłszy do klasy, Alcybiades, roztargniony jak zwykle, nic nie zauważył w pierwszej chwili i z opuszczonymi na nos okularami skierował się prosto do katedry. Usiadł i dopiero wtedy spostrzegł przed nosem niecodzienny eksponat. Wziął go do ręki, obejrzał z bliska, obmacał, a potem spojrzął dziwnie na klasę.

Patrząc mu w oczy, uśmiechnęliśmy się dumnie.

Wreszcie zapytał:

– Co to jest?

Daliśmy pośpieszny znak Pędzłowi. Pędzel wstał, aby rozpocząć Dryf.

– To jest misiura, panie profesorze.

– Misiura?

– Tak, proszę pana. Przeprowadziliśmy małe prace wykopaliskowe w pobliżu Czerska.

– Wy? – oniemiał Alcybiades.

– Tak, proszę pana, „Ziemia gromadzi prochy i eksponaty historyczne”... To nasze hobby. Od dawna interesowała nas historia Piastów, zwłaszcza mazowieckich.

– I wy to wykopalście?

– No... niezupełnie. Przerwaliśmy nasze prace, bo nawinął nam się właśnie pewien poczciwy rolnik, który wyorał właśnie tę misiurkę podczas jesiennej orki i odstąpił niedrogo...

– Mówicie, że to było w okolicy Czerska?

– Tak.

– To smutne – rzekł Alcybiades.

– Czemu?

– Padliście ofiarą szalbierza.

– Szal-szalbierza? – wyjąkaliśmy, drętwiąc.

– Szalbierza, czyli oszusta, który żeruje na naiwnych turystach i zbieraczach starożytności. Słyszałem o tym wydrwigroszu z Czerska. To nie jest misiurka.

– A co to jest?

– O ile mnie wzrok nie myli, jest to siatka ochrona pszczelarza.

Była to bardzo przykra chwila dla naszej klasy, a dla naszej sławnej paczki w szczególności, tym bardziej że ten drań Babinicz od razu zachichotał złośliwie.

– Czy pan jest pewien, panie profesorze? – zapytał rozgorączkowany Zasepa. – To przecież wygląda tak staro i szlachetnie...

– Istotnie – odparł Alcybiades – jest to, jeśli się nie mylę, dość archaiczna siatka. Dziś używa się znacznie cieńszego drutu albo tworzywa sztucznego.

– Więc może ona jest też zabytkowa? – zapytaliśmy z nadzieją.

– W tej chwili jest tylko przestarzała. Jeśli jednak potrzymacie ją jeszcze sto lat, z pewnością nabierze wartości muzealnej – uśmiechnął się Alcybiades i spojrział na zegarek. – Ale na razie proponuję wrócić do lekcji. Czasu mamy mało, a zgodnie z uchwałą rady pedagogicznej musimy równolegle do bieżącego materiału odrabiać zaległości z klas poprzednich.

Ogarnął nas popłoch. A więc wszystko na nic! Cały trud wyprawy i tak sumiennie przygotowany Dryf pójdzie na marne.

„Sposób na Alcybiadesa”

Niemal zuchwale światu całemu zawsze patrzący w oczy Adaś patrzył w tym momencie nieśmiało, jak gdyby się obawiał, że zbyt natarczywym, zbyt mocnym spojrzeniem może boleśnie porazić tę fiołkową delikatną i jakby przejrzystą. Zawsze należycie pyskaty, bał się przemówić, aby nie spłoszyć słodkiego zjawiska. Nawet tego nie zauważył, że słodkie zjawisko było doskonale wysportowane i, gdyby wśród niewinnych igraszek chciało rzucić krzesłem, uzyskałoby przyzwyczajony rekord w rzucie czworonożnym meblem na odległość. Nimfa z fiołkowych uprzedzona mgieł miała muskuły pierwszej klasy, co świadczyło, że zaświatowe okazy mają ludzkie zamiłowania do sportu. Adaś zebrał porzucane zmysły, nakazał sobie spokój i począł w zakamarkach wybitnego ducha szukać słów nadobnych i miękich, aby przemówić prześlicznie do prześlicznej dziewczyny. Ponieważ nigdy nie miał tego pięknego towaru na składzie, zdobył się jedynie na zdanie, które przy najlepszej chęci nie mogłoby być użyte jako wzór dla początkujących poetów.

Zapytał cichutko:

- Czy pan profesor długo śpi po obiedzie?
- Jeśli się nie mylę, już się rusza i zapewne szuka butów. Stryjaszek nigdy nie wie, gdzie są jego buty.
- To ciekawe! - rzekł Adaś ze sztucznym podziwem.
- Pan chyba zna dobrze stryjaszka... Opowiadał mi, jak go pan wybornie urządził... Ach, to było świetne! Ale teraz uwielbia pana i ma nadzieję, że pan do nas pojedzie. Czy pan będzie mógł pojechać?
- Z rozkoszą! - krzyknął Adaś z niesłychanym zapałem.
- Czemuż to aż z „rozkoszą”? - zapytała panienka cichutko, zasłoniwszy powiekami oczy.

Chciał zawołać: „Dziewczyno, jeżeli wiesz, czemu o to pytasz?” - w ostatnim momencie przypomniał sobie jednak, że w ten sposób rzekł u Homera Achilles do Agamemnona, bez

tej „dziewczyny” oczywiście. Homerycy bohaterowie nie mieli w gębie kwiatów i raczej rzucali w siebie zdechłymi psami niż różami, przeto takie zapytanie byłoby zbyt obcesowe. Więc tylko spojrzal na nią takim gorącym spojrzeniem, że panience pociemniały oczy i różowa mgiełka zabarwiła jej twarzyczkę. Wielkie to szczęście, że duch pana profesora Gąsowskiego powrócił z zaświatów, kędy zapewne szukał Napoleona, wiodącego do bitwy jakąś czarną burzę i dowodzącego artylerią piorunów. Pan profesor zapytywał zniecierpliwionym głosem senną przyrodę: - Gdzie się u licha podział mój lewy but? - Ponieważ z cennych, zaginionych rzeczy nie udało się dotąd strapionej ludzkości odszukać jedynie Atlantydy*, lewy but pana profesora odnalazł się wprędce za trzecią od góry półką z książkami i staruszek wkroczył rażno do pokoju. Mile zdziwiony, zakrzyknął:

- O, Piotruś. Jesteś przecie!

- Zdawało mi się, że wedle tego, co mówił stryjaszek, panu jest na imię Zbigniew - rzekła panienka. - Więc Piotr czy Zbigniew?

- Adam, proszę pani...

- Stryjaszku, jakżeż można?

- Przepraszam cię, chłopcze... Napoleona bym nie zapomniał, ale wśród tego natłoku świętych... Wszystko jedno zresztą, skoro przyszedłeś. Cała rzecz w tym, z czym przyszedłeś?

- Pan Adam jedzie do nas! - zawołała panienka skwapliwie. - Na całe wakacje! - dodała ciszej.

- Wybornie! Wybornie! - mówił radośnie pan Gąsowski.

Adaś zdziwił się cokolwiek, nikt nigdy nie mówił bowiem o całych wakacjach, lecz spojrzal na dziewczynę z wdzięcznością.

* Atlantyda - legendarna wyspa na Oceanie Atlantyckim, jakoby zatopiona wskutek nieznanego kataklizmu.

K. Rakuszyńska
"Dziaton z sidmę klasę"
K.A.!